

bliżej przekonałem się, że gdyby doszło do spotkania bez niczyjego pośrednictwa, powitałby mnie niemięcej otwartym sercem, pozdrowił pokojem, a oczyma powiedział, że akceptuje mnie takim, jakim jestem. Był otwarty na bliźniego i szanował jego odrębność.

Ks. Wojciech szukał w człowieku przede wszystkim dobra. Pod tym względem przypominał świętych, którzy patrząc na człowieka podziwiali w nim obraz Boga i ze stworzenia uczyli się poznawać Stwórcę. Pragnął naśladować ludzi oddanych Bogu i bliźnim. Nie ukrywał, że niektóre osobowości pod tym względem imponowały Mu i w pewien sposób chciał się do nich upodobnić.

Ukierunkowanie na dobro owocowało w Jego życiu tworzeniem dobra. Angażował się w ludzkie sprawy zapominając o sobie i zaniedbując własne. Najmniej czasu miał bowiem dla siebie. W krótkich wspomnieniach trudno rozwinąć ten wątek szerzej. W przeciwnym wypadku należałoby mówić w tym miejscu o setkach ludzi, z którymi dzielił swój czas, podobnie jak łamie się z głodnym chleb. „Chleba czasu” starczało Mu zawsze dla znajdujących się w wielorakiej potrzebie.

Nie sposób pominąć charakteryzującej Go radości. Był człowiekiem uśmiechu, żartu, anegdoty. Pozostaną w pamięci pełne życia scenki rodzajowe, które urozmaicały niejedną przerwę w zajęciach na Uczelni lub podczas sympozjów.

Na koniec wspomnę zdarzenie, które miało miejsce w początkowym okresie znajomości. W pierwszym roku studiów byłem jednym z wielu księży odprawiających Mszę św. przy bocznym ołtarzu w lubelskiej katedrze. Zwykle nikt z wiernych w takiej Mszy nie uczestniczył, a ministrant usługujący podczas całej Ofiary należał do wyjątku. Zwłaszcza w niedziele trudno było odnaleźć się wewnątrz w tej, odmiennej od parafialnej, sytuacji. Gdy zwierzyłem się Ks. Wojciechowi, usłyszałem w odpowiedzi, że stając sam jeden przy ołtarzu winienem mieć szczególną świadomość zjednoczenia z żyjącymi już w Bogu, a także z tymi spośród żyjących na ziemi, z którymi łączą mnie więzy wiary. „W każdym razie — mówił — Basia i ja zawsze ci odpowiemy: „I z duchem twoim” i że serca nasze wraz z twoim wnosimy do Pana”.

Gdy obecnie odprawiam Mszę św. bez udziału wiernych, czuję się zjednoczony w świętych obcowaniu z tymi, których wiara i oddanie znane są Bogu, a także ze „wszystkimi spoczywającymi w Chrystusie”, wśród których — wierzę — jest i Ks. Wojciech.

Płock

KS. ANDRZEJ ROJEWSKI

Ks. Zbigniew Czerwiński

WSPOMNIENIE O KS. WOJCIECHU

Z ks. Wojciechem spotkałem się po raz pierwszy chyba w 1963 r. w Instytucie Teologii Pastoralnej. Stało się to za sprawą ks. F. Blachnickiego, z którym mieszkaliśmy wtedy w diecezjalnym budynku przy ul. Podwale 15. Za namową ks. Blachnickiego chodziłem na dyskusyjne spotkania o różnych pastoralnych problemach. Było o czym mówić, bo właśnie trwał Sobór i zaczynała powoli docierać do nas jego myśl. Na tych spotkaniach czułem się początkowo jak przysłowiowy „Piłat w Credo”, ale

z czasem byłem coraz bardziej u siebie. Dużą w tym była zasługa ks. Wojciecha, który potrafił rozbudzać we mnie drzemającego pastoralistę. Zajęcia te były dla mnie swoistym „hobby”, gdyż studiowałem wtedy filozofię teoretyczną. Rozbudziły one we mnie zainteresowania liturgiką i katechetyką.

Gdy skończył się Sobór, co zbiegało się w czasie z ukończeniem przeze mnie studiów filozoficznych, pracowałem w lubelskiej parafii św. Pawła. Był to czas wprowadzenia w życie odnowy liturgicznej. Ks. Blachnicki i ks. Wojciech byli w tej dziedzinie ekspertami. „Biegało” się wtedy do kościoła jezuitów na organizowane przez nich wykłady spotkania szkoleniowe, pierwsze „Godziny Słowa Bożego” itp. imprezy.

Wspomnienie ks. Wojciecha kojarzy mi się zawsze z kościołem akademickim przy KUL i jego przystosowaniem do wymogów odnowionej liturgii oraz z celebiami ks. Wojciecha, podczas których okazywał się On nie tylko teoretykiem liturgiki, ale przede wszystkim człowiekiem. Całe swoje serce wkładał On w to, aby Bogu oddać chwałę, a ludzi skłonić do pobożnego i czynnego udziału w Ofierze Eucharystycznej. Podziwiałem szczególnie to, że dbając o ten aktywny udział ks. Wojciech nie improwizował, ale swoje komentarze liturgiczne zawsze miał starannie opracowane na piśmie. Myślę, że można śmiało powiedzieć, iż żywy do tej pory udział w obrzędach liturgicznych wiernych, uczęszczających do kościoła przy KUL, to trwała pamiątka po ks. Wojciechu.

Osobny rozdział moich spotkań z ks. Wojciechem stanowiło nasze wspólne zaangażowanie w Oazy, czyli Ruch Światło-Życie. Współpracując z ks. Blachnickim spotykaliśmy się w Krościenku, a także bardzo często na naradach w lubelskim ośrodku oazowym na Sławinku, czy na wspólnych celebracjach w zbudowanej tam kaplicy Ojca Maksymiliana Kolbego. Podziwiałem ks. Wojciecha, że w tej współpracy z ks. Blachnickim potrafił zawsze stać jakby „w cieniu Ojca” wykonując najbardziej pracochłonne zajęcia, szanując coraz to nowe koncepcje ks. Blachnickiego i jego szczególny charyzmat.

Osobisty charyzmat ks. Wojciecha wyzwolił się wtedy, gdy zabrakło ks. Blachnickiego w Polsce. Ks. Wojciech na swój sposób potrafił ogarnąć rozwiniętą już wtedy na bardzo szeroką skalę akcją oaz wakacyjnych, organizować najrozmaitsze szkolenia animatorów Ruchu i kongregacje ogólnopolskie, na które także byłem kilkakrotnie zaproszony, abym mógł podzielić się swoimi doświadczeniami.

Choroba i śmierć ks. Wojciecha była dla mnie kompletnym zaskoczeniem. Moje drogi w tym okresie często prowadziły poza granice Polski. Ks. Wojciech zgasł, gdy byłem daleko. Myślę, że teraz kiedy jest u Pana, tak jak zawsze śpieszy ludziom z pomocą. Są momenty, że szczególnie wyraźnie odczuwam tę Jego uśmiechniętą pomoc.

Lublin

KS. ZBIGNIEW CZERWIŃSKI